

Gisela Pou

TRZY IMIONA LUDKI

Przełożyła Magdalena Pabisiak

MARGINESY

This book was translated with the help of a grant from the Institut Ramon Llull



Els tres noms de la Ludka

COPYRIGHT © 2023, Gisela Pou Valls

Translated from the original edition of Editorial Planeta S.A., Barcelona, 2023

This edition has been published through the agreement with Hanska Literary & Film Agency, Barcelona, Spain

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Magdalena Pabisiak

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2026

*Wszystkim dzieciom,
którym wojna kradnie dzieciństwo*

Przyszłość była czarnym korytarzem
z zamkniętymi drzwiami w głębi.

Gustave Flaubert, *Pani Bovary*,
przeł. Ryszard Engelking

EMMA

Wspominać Ludkę to na powrót stawać się dziewczynką. Jej jasne, pełne pytań oczy rzucają mi wyzwanie. Przyjechała niedawno i ciągle prześladowa ją koszmary. Rankiem wychodzi do ogrodu i biega tam i z powrotem, jakby ktoś ją ścigał. Przepełnia ją lęk. Pędzi bez celu i chowa się w krzakach rosnących wzdłuż muru oddzielającego ogród od ulicy. Skulona jak przerażone zwierzątko. Nieruchoma, bo nie chce, żeby ją znaleziono. Drżąca, bo świat jest miejscem nieprzyjaznym. Wie, że łatwo ją skrzywdzić, bo jeszcze nie wytworzyła pancerza, który by ją chronił przed życiem. Z oddali, z odległości ponad sześćdziesięciu lat, obserwuje mnie ze smutkiem dziecka, które wszystko straciło.

Na jednej z półek w moim gabinecie stoi czarno-biała, na wpół zatarta przez czas fotografia z obszarpanymi brzegami i ciemną plamą pośrodku.

Palma. Drewniany wózek. Dwie dziewczynki.

Dziewczynki nie patrzą w obiektyw ani się nie uśmiechają. Nawet nie wiedzą, że ktoś je obserwuje. One walczą jak dwa zwierzątka. Szarpią się za włosy, gryzą się i drapią, okładają pięściami. Przewracają się na ziemię. Krzyczą. Krew miesza się z błotem po deszczowej nocy. Palma lekko się nachyla, chcąc im powiedzieć, żeby przestały. Walczą o ten drewniany wózek. Walczą, a rosnąca zazdrość wylewa się na język, wymykają się słowa, które kłują i ranią.

Na patio wychodzi nauczycielka.

– Przestań! Przestań! – krzyczy zniecierpliwiona po polsku, podbiegając do nich.

Nie słyszą jej.

Dwie dziewczynki.

Ona to Ludka.

Ja jestem Emma.

I

Barcelona, kwiecień 1946

Osiągnięcie dziewięciu lat oznaczało, że dorosłaś do wielu rzeczy, niezależnie od tego, czy masz na nie ochotę czy nie, bez względu na to, czy się krzywisz czy uśmiechasz od ucha do ucha, musiałaś pomagać w ścieleniu czterdziestu łóżek dla dzieci przybywających ze środka Europy.

– Ja chcę iść do warsztatu dziadka! – krzyknęłam, żeby postawić na swoim.

– Idziesz ze mną! – rzuciła mama, piorunując mnie mrocznym spojrzeniem. Grzebała w szufladzie, w której trzymała przybory do szycia. Z rozdrażnienia po kłótni z babcią brakowało jej powietrza w płucach, nozdrza się jej rozdymały, a złość uchodziła przez koniuszki palców.

– Ale dziadek na mnie czeka... – upierałam się.

– Pani Wandzie potrzebne są ręce do pracy, a ty, Emmo, jesteś już duża.

W pudełku z nićmi leżały nitka biała i nitka czarna; mama chwyciła obie szpulki naraz i wrzuciła je do płóciennej torby.

Po raz pierwszy usłyszałam o osieroconych dzieciach, kiedy mama obrzucała dół popielatej sukni pani Wandy, a ja, siedząc przy

niej, nawlekałam igły. Przyjedzie na parę miesięcy do Barcelony gromada dzieci, które nie mają ojca ani matki.

– Biedactwa! – dodała i wzięła ode mnie igłę, którą trzymałam między kciukiem a palcem wskazującym niby jakąś miniaturową szpadę.

Wówczas nawet przez myśl mi nie przeszło, że przybycie tych dzieciaków najpierw skradnie mi mamę, a następnie odmieni moje życie.

Mama dokładała się do skąpych dochodów rodziny szyciem po domach. Co popołudnie, to inny dom. Co popołudnie, to inna rodzina. Codziennie po południu przez trzy lub cztery godziny cerowała skarpety, zwęzła spódnice, wymieniała kołnierzyki u koszul, łątała prześcieradła, rozpuszczała listwy przy szlafrokach u różnych ludzi. Codziennie po południu, siedząc w kącie kuchni czy prasowni, wysłuchiwała sprzeczek i sekretów. Niektóre panie odnosiły się do niej chłodno i z rezerwą, inne wiele wymagały, a mało płaciły, a były i takie, które roztaczały przed nią wszystkie fetory swojej samotności i dzieliły się z nią intymnymi sprawami, ona zaś wpłatała ich słowa w szwy sukien; a ponad nimi wszystkimi, niby orlica z rozpostartymi skrzydłami, unosiła się pani Wanda.

Wanda Morbitzer-Tozer mierzyła się z życiem w przekonaniu, że pierwszym krokiem do tego, żeby coś osiągnąć, trzeba tego czegoś chcieć. Sprowadzenie do Barcelony tych dzieci od paru miesięcy było jej priorytetem. Anna Maria Klemensiewicz, sprawująca funkcje radczyni polskiego konsulatu w Barcelonie oraz delegatki Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, była prawą ręką konsula Rodona i zarazem jego małżonką. Obydwie panie podjęły starania, by sprowadzić do Barcelony polskie sieroty przebywające w obozie

dla przesiedleńców w Salzburgu. Auxilio Social*, organizacja dobroczynna podporządkowana reżimowi frankistowskiemu, udostępniła im budynek przy ulicy Angli; w czasie wojny znajdował się w nim areszt, a teraz miał posłużyć za dom dzieciom rozpoczynającym życie z pustymi rękami i wymazaną przeszłością.

Miały tam spędzić parę miesięcy, „coś w rodzaju wakacji”, jak się wyraziła moja mama.

Gdybym się zdobyła na odwagę, zaprotestowałabym, krzycząc, że choćby te dzieci były nie wiem jak osierocone, choćby im się zdarzyły nie wiem jakie nieszczęścia, to przecież rąk im nie brakuje i same sobie mogą pościelić łóżka, bo ja mam co innego do roboty. I zanim mama zdążyłaby mi odpowiedzieć, już bym uciekła do stolarni, żeby być z dziadkiem i bawić się drewnianym wózkiem, który nie miał właściciela. Ale brakło mi odwagi, toteż z nosem na kwintę człapałam za nią wpatrzona w czubki własnych butów i przysięgałam sobie, że już nigdy się do niej nie odezwę.

Dojście od nas na ulicę Angli zajmowało mniej więcej trzy kwadranse. Najrozsądniej byłoby pojechać tramwajem, ale mama powiedziała, że nie ma lepszego lekarstwa na fochy niż spacer, a w dodatku chodzenie wzmacnia nogi; ot, jeden ze sposobów przypomnienia, że w domu się nie przelewa i że jazda tramwajem to luksus, na który nie możemy sobie pozwolić. Od czasu do czasu odwracała się do mnie, żeby zapytać, czy jestem zmęczona, a ja, uparta jak cała rodzina Andreu i wściekła, że nie mogę spędzić dnia tak, jak chciałam, zaciskałam usta i nie odpowiadałam.

* Dosłownie: Pomoc Społeczna – organizacja charytatywna działająca w Hiszpanii w czasach wojny domowej w latach 1936–1939 oraz dyktatury frankistowskiej, stanowiąca jednocześnie ważne narzędzie propagandy politycznej reżimu. (Jeśli nie zaznaczono inaczej, wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Bolały mnie stopy, ale w gruncie rzeczy najbardziej dokuczał mi język nabrzmiały od przeżuwania pytań, które sama sobie wzbraniałam zadać na głos. Co ona w ogóle wie, ta moja mama, o tych dzieciakach? Po co one przyjeżdżają do miasta? I za jakie grzechy ja we wtorek po południu mam im ścielić łóżka?

Minęłyśmy deptak Bonanova i ruszyłyśmy ulicą Angli w kierunku budynku pod numerem 49. Przed domem, pomiędzy chodnikiem a fasadą, znajdował się niewielki dziedziniec. Ogród był otoczony murkiem o wysokości metra z okładem, w którym osadzono kute ogrodzenie, dochodzące aż do furtki usytuowanej dokładnie pośrodku. Bluszcz, pnący się po kratkach, wychylał się na ulicę niby naturalna zasłona ukrywająca łuszczącą się ze starości farbę i panoszącą się na żelazie rdzę.

Mama zatrzymała się przed wejściem i westchnęła z ulgą, zadowolona, że dotarliśmy, a potem pchnęła furtkę, która otworzyła się z metalicznym jękiem. Trzeba było pokonać dwa stopnie i przejść brukowaną drożkę prowadzącą do drzwi. Świeżo skoszona trawa pachniała latem. Przytulony do ściany wawrzyn wyciągał cienkie gałęzie, próbując dosięgnąć balkonu; z przeciwnej strony witał gości krzew róży, obwieszony czerwonymi kwiatami w złociste cętki. Drewniane drzwi były zamknięte. Mama zapukała, ale nikt nie odpowiedział. Zaczęła się dobijać, jednak nikt nie otwierał.

– Pani Wanda powiedziała, że będą tu przez cały dzień! – W jej słowach pobrzmiwała mieszanina zaskoczenia i niepewności.

– Przecież widzisz, że tutaj nikogo nie ma! – zawołałam, łamiąc daną sobie obietnicę, że nie odezwę się przez całe tygodnie.

Mama poszła wypytać sąsiadów, a ja, marząc o powrocie do domu, przeszłam na drugą stronę jezdni i wędrowałam w kierunku

wylotu ulicy na Bonanova. Z otoczonego ogrodem dwupiętrowego budynku na samym rogu, pod numerem 46, z okien, co do jednego otwartych na oścież, płynął kobiecy śpiew zmieszany z gwarem trudnym do określenia.

Szóstka pomyłona z dziewiątką sprawiła, że trafiliśmy pod niewłaściwy adres.

Mama podbiegła i mnie dogoniła. Usłyszała piosenkę i uśmiechnęła się z ulgą. Teraz naprawdę dotarliśmy na miejsce.

Niewielki oddział kobiet stał kurze, pozamiatał i wyszorował podłogi. Wiadra wody stały na każdym kroku. Ten dom, przed laty świadek krzyków i bolesnych jęków aresztantów, teraz z otwartymi na oścież oknami szykował się na przyjęcie gromady dzieci. Piosenki mieszały się z zapachem ługu i świeżego powietrza. Jedne kobiety czyściły łóżka, które przywieziono wcześniej rano, inne w pocie czoła usiłowały doprowadzić do porządku szyby w oknach, trąc je papierem gazetowym i polerując bawełnianymi szmatami, zniszczonymi od długiego używania. Dwie inne wieszały zasłony, chcąc sprawić, aby ten dom, o wysokich sufitach i ponurej przeszłości, przemienił się w przytulną przystań dla grupy maluchów, którym w dzieciństwie skradziono dom rodzinny.

Na twarzy pani Wandy, która wyszła nam na spotkanie, malowała się wdzięczność; na głowie miała kwiecistą chustkę, a niebieski fartuch sięgał jej niemal do kostek. Mimo że na pierwszy rzut oka można by ją wziąć za sprzątaczkę, jej dystygowane ruchy, smukła szyja i pewność siebie w spojrzeniu, zdradzały elegancję kobietę. Taką, która dobrze wie, czego chce, i nie ustąpi, póki tego nie osiągnie.

– Dziękuję, że przyszedłś, Isabel. I tobie, Emmo. – Poglądziła mnie po włosach z łagodnością, jaka cechowała wszystkie jej gesty. –

Na szczęście mamy nową pościel. Poszewki są bardzo szerokie i trzeba będzie do nich wszyć tasiemki, żeby poduszki nie wypadały.

Razem z mamą poszliśmy za nią do pomieszczenia, gdzie czekała na nas góra białych płócien.

Szpilki i igły, biała nitka, czarna nitka, napastrki i nożyczki różnych rozmiarów, a do tego wiele metrów tasiemki. Moje zadanie polegało na cięciu tasiemki na kawałki tej samej długości, a poza tym pobiłam mój własny rekord, nawlekając sześćdziesiąt trzy igły w niewiele ponad godzinę. Potem oblekłam poduszki w poszewki, a jak tylko się z tym uporałam, zaczęłam pomagać w ścieleniu łóżek.

Kobiecty oddział wypełniał przestrzeń pytaniami, które unosiły się pod sufit i spadały mi do stóp. Moja wściekłość na te dzieciaki za to, że pokrzyżowały mi plany na popołudnie, zabarwiła się iskierkami współczucia, gęstniejącymi w miarę jak słuchałam, co mówią.

– Biedactwa! I nie mają żadnych krewnych, którzy by się o nie upomnieli? – pytała jedna.

– Jasne, że nie, a tobie się zdaje, że jakby kogoś miały, to by trafiły do sierocińca? – odpowiadała inna.

– A ty, skarbie – zwróciła się do mnie kobieta z żółtymi oczami – wyobrażasz sobie, jak to jest nie mieć matki ani ojca, ani dziadków, żadnej ciotki albo wujka? To strasznie smutne, prawda?

Nie przyznałam się, że nie mam ojca, że nigdy go nie miałam, że go zabili, ledwie się skończyła wojna, i że mi go nie brakuje, ponieważ nie odczuwamy braku tego, czego nigdy nie mieliśmy. A te kobiety wciąż gadały.

– Takie malizny, a proszę, ile już wycierpiały! – mówiła niezłutka kobieta o okrągłej twarzy, z powiekami pomalowanymi na jaskrawoniebieski kolor.

– Nikt nie może zaprzeczyć, że nasz caudillo* jest człowiekiem wielkiego serca: przyjęcie tych biednych maluchów to naprawdę szlachetny gest! – wykrzyknęła jakaś kobieta w mocno przybrudzonej sukience.

Pani Wanda rzuciła jej spojrzenie spod oka, a choć nic nie odrzekła, zmarszczyła brwi tak, że między nimi zarysowały się pionowe bruzdy.

Kiedy wszystko było gotowe, na dworze zapadał już zmierzch. Pani Wanda opłaciła nam bilety na tramwaj, taki zatłoczony, że ledwie się wcisnęliśmy. Całą drogę przejechaliśmy, stojąc na baczność. Otulona łagodnymi odgłosami jazdy nie mogłam oderwać myśli od tych dzieci, które jutro będą spały w pościelonych przeze mnie łóżkach. Sprowadzenie tych sierot było utrudnione z powodu napięć pomiędzy władzą frankistowską a rządem Polski na emigracji przebywającym w Londynie. Złe stosunki między Hiszpanią i Francją spowodowały w połowie lutego zamknięcie granicy pomiędzy nimi. Ten szlaban zmusił do poszukiwania alternatywnej trasy. Dzieci miały odbyć podróż z Salzburga do Genui pociągiem i przybyć do Barcelony w okolicach południa na pokładzie statku, odbywającego regularne kursy między tymi miastami.

Ledwie drzwi się otworzyły, owionął nas zapach zupy jarzynowej. Dziadek siedział jak zwykle w swoim fotelu i czytał egzemplarz dziennika „La Vanguardia Española”**, który dostał od

* Przywódca, wódz; tak tytułowano Francisca Franco.

** Na początku dziennik Partii Liberalnej prowincji Barcelona, wydawany od 1881 roku. W latach wojny domowej (1936–1939) i dyktatury Franco (do 1978) przemianowany na „La Vanguardia Española” i dostępny na terenie całej Hiszpanii. Od 2011 roku wydawany również w języku katalońskim.

właściciela baru. Babcia walczyła z radioodbiornikiem, usiłując znaleźć stację. Na środku stołu stał wazon z trzema różami. To dziadek je przyniósł: jedną dla babci, drugą dla mamy i trzecią, malutką, dla mnie.

Kiedy mama i babcia poszły do kuchni skończyć przygotowania do kolacji, dziadek podniósł się z fotela, przyłożył palec wskazujący do ust i dał znak, żebym szła za nim. Kiedy znaleźliśmy się przy wejściu, podniósł z taboretu skrzynkę z narzędziami. Spod poduszki, na której stała, wyjął paczkę owiniętą w papier pakowy i przewiązaną sznurkiem. Sądząc po kształcie i wielkości pakunku, zawierała książkę.

– Weź ją do swojego pokoju i schowaj tak, żeby nikt, ale to nikt, jej nie znalazł, nawet mama albo babcia – powiedział cicho. – Są takie książki, których posiadanie jest zakazane, Emmo. A jeśli ci ją daję, to dlatego, że już jesteś duża i potrafisz dochować tajemnicy.

Godzinę później, sama w pokoju, rozpakowałam paczkę.

Na okładce widniał obrazek chłopczyka w katalońskiej barretinie* i kombinezonie z szerokimi nogawkami, który maszerował, trzymając w uniesionej ręce chorągiewkę. Książka nosiła tytuł *Najmniejszy ze wszystkich***.

To był pierwszy z sekretów, jakie dzieliliśmy z dziadkiem. O innych sprawach, które ukrywał przede mną dziadek, miałam się dowiedzieć parę miesięcy później.

* Czapka, która od wieków jest charakterystycznym elementem męskiego stroju w Katalonii.

** *El mes petit de tots* – nawołująca do rewolucji książka pióra Loli Anglady, katalońskiej pisarki i ilustratorki popularnych wydawnictw dla dzieci.